

Marie Ndiaye

# trzy silne kobiety

Z języka francuskiego przełożyła  
Krystyna Sławińska



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*I*

Ten kto jej otworzył, jakby przypadkiem ukazał się na progu dużego betonowego domu, w tak ostrej raptem intensywności światła, że sprawiał wrażenie, jakby to jego postać odziana w jasne ubranie wydzielala i roztaczała ową światłość, stał tu ten mężczyzna, niski, kragły, ociężały, emanując blaskiem jak neonowa żarówka, ten mężczyzna stojący w progu swego przesadnie wielkiego domu nie miał już nic, pomyślała natychmiast Norah, ze swej wyniosłości, postury, młodości niegdyś tak tajemniczo niewzruszonej, że wydawała się niezniszczalna.

Trzymał ręce splecione na brzuchu, głowę pochylał na bok, ta głowa była siwa, a brzuch miękkii i sterczący pod białą koszulą, nad paskiem podtrzymującym jasnobeżowe spodnie.

Stał tak w aureoli zimnego blasku, jakby spadł na próg swego domu z gałęzi ognistego drzewa,

które rosło w ogrodzie, bo, pomyślała Norah, gdy zbliżała się do domu, wpatrując się w drzwi wejściowe poprzez ogrodzenie, nie widziała, kiedy się otworzyły i wyszedł przez nie jej ojciec – nagle ukazał się w zmierzchającym świetle dnia, ten mężczyzna jaśniejący i upadły, tak jakby potężny cios młotem w głowę zburzył jego harmonijne proporcje, które Norah ciągle tak dobrze pamiętała, sprawił, że jest teraz przysadzistym człowiekiem bez szyi, o masywnych krótkich nogach.

Stał nieruchomo i patrzył na zbliżającą się Norah, a w jego niepewnym spojrzeniu, nieco zakłopotanym, nic nie wskazywało na to, by oczekiwał jej przybycia ani że ją o to prosił, wręcz nalegał (jeśli w ogóle – pomyślała – taki człowiek potrafi domagać się jakiegokolwiek pomocy), żeby do niego przyjechała.

Po prostu był tu obecny, tak jakby jednym ruchem skrzydeł sfrunął z grubej gałęzi płomieniowca, który żółtawym cieniem osłaniał dom, ociążałe wylądował na betonowym popękany progu – wydawało się, że tylko przypadek w tamtej chwili skierował kroki Norah w stronę ogrodzenia.

Ten człowiek, który mógłby sprawić, by każde jego błaganie stało się w jej oczach żądaniem, patrzył, jak ona otwiera furtkę i wchodzi do ogrodu,

przyglądał się z miną gospodarza, który jest lekko zaskoczony, lecz usiłuje to ukryć, trzymał rękę jak daszek nad oczami, chociaż wieczór spowił już cieniem wejście, jednak rozświetlone tą jego dziwną postacią, jaśniejącą, naelektryzowaną.

– Ach, to ty – powiedział głuchym, przytłumionym głosem, słabym, niepewnym, po francusku, a przecież doskonale władał tym językiem, tak jakby pełna zadufania obawa, jaką zawsze żywił, przed popełnieniem trudnych do uniknięcia błędów w końcu zachwiała nawet jego mową.

Norah nie odpowiedziała.

Objęła go na chwilę, nie przytulając do siebie, po niewyczuwalnym niemal pod palcami skurczu jego sflaczałych ramion przypomniała sobie, że on nie lubi kontaktu fizycznego.

Wydało jej się, że dobiega ją zapach stęchli-  
zny.

Zapach pochodzący z gęstego kwiecia, już przywiedłego, wielkiego żółtego płomieniowca, który rozkładał swe gałęzie ponad płaskim dachem domu i w którego liściach gnieździł się być może ten tajemniczy, pełen buty mężczyzna, pomyślała z zażenowaniem Norah, czatujący na ledwo uchwytny odgłos kroków zbliżających się do ogrodzenia, by się sprężyć i niezgrabnie opaść na

próg swego przestronnego domu o murach z surowego betonu, a może to zapach ciała albo ubrania ojca, jego starczej skóry, pomarszczonej, zszarzałej, sama nie wiedziała, nie potrafiłaby tego określić.

Mogła w każdym razie przysiąc, że tamtego dnia miał na sobie, tak pomyślała, i chyba ciągle nosi pogniecioną koszulę, poplamioną zaciekami potu, pozieleniałe spodnie wytarte na kolanach, paskudnie powypychane, bo jako zbyt ciężkie ptaszysko upadał za każdym razem, gdy zlatywał na ziemię, albo też, myślała Norah z lekkim politowaniem, on także stał się w końcu starym człowiekiem, niedbałym, zubożniałym lub ślepym na niechlujstwo, choć zachował nawyki tradycyjnej elegancji, ubierając się, jak zawsze, na białło i kremowo, nie wychodząc nawet przed niedokończony dom bez poprawienia krawata, choćby wyłonił się z jakiegoś zapuszczonego brudem salonu czy z wymęczonego kwitnieniem ognistego drzewa, z którego zdołał sfrunąć.

Norah, która z lotniska wzięła taksówkę, potem długo szła pieszo w upale, bo zapomniała dokładny adres ojca i mogła odnaleźć się tylko, rozpoznając dom, czuła się lepka, brudna, przytępiona.

Miała na sobie jasnozieloną sukienkę bez rękawów w drobne żółte kwiatki podobne do tych,

które opadając z płomieniowca, usłały próg domu, oraz sandały na płaskiej podeszwie tej samej zielonkawej barwy.

Zauważyła poruszona, że na stopach ojciec ma plastikowe klapki, a przecież zawsze stawiał sobie za punkt honoru, jak jej się zdawało, pokazywać się tylko w wyczyszczonych pantoflach, beżowych lub barwy złamanej bieli.

Czy dlatego, że ten rozmamłany mężczyzna utracił wszelkie prawo, by obrzucić ją krytycznym spojrzeniem, zawiedzionym czy surowym, czy też dlatego, że uzbrojona w swoje trzydzieści osiem lat nie obawiała się już, bardziej niż czegokolwiek innego oceny swego wyglądu, pomyślała, że piętnaście lat temu poczułaby zażenowanie, upokorzenie, gdyby taka spocona i zmęczona pokazała się ojcu, którego wyglądu zewnętrznego ani ogólnego wizerunku nigdy nie nadszarpnęła najmniejsza oznaka słabości czy wrażliwości na spiekotę, a teraz było jej to obojętne, co więcej, okazywała ojcu naturalną twarz, świecąca się, nawet nie zadała sobie trudu, by ją upudrować w taksówce, pomyślała tylko: Jak mogłam przywiązywać taką wagę do tego wszystkiego. Zastanawiała się nad tym z nieco cierpkim rozbawieniem, z pewną urazą: Niech sobie myśli o mnie, co mu się podoba, bo przecież dobrze pa-

miętała owe brutalne uwagi, obraźliwe, które ten wyniosły mężczyzna wypowiadał protekcjonalnym tonem, gdy przychodziły do niego nastoletnie panienki, ona i jej siostra, uwagi na temat braku elegancji czy szminki na ustach.

Bardzo chciałyby mu teraz powiedzieć: Chyba wiesz, o co chodzi, mówiłeś do nas jak do kobiet, jakbyśmy miały obowiązek uwodzić, a byłyśmy wtedy dziećmi, byłyśmy twoimi córkami.

Chciałyby powiedzieć te słowa z lekko gniewną obojętnością, tak jakby chodziło o pewną formę nieco przyciężkiego poczucia humoru ojca, żeby się z tego trochę pośmiali, on z odrobiną skruchy.

Kiedy jednak ujrzała go stojącego w plastikowych klapkach na betonowym progu pokrytym gnijącymi kwiatkami, które stracił zapewne, kiedy zlatywał z ognistego drzewa lotem ciężkim i bezwładnym, uzmysłowiła sobie, że on wcale nie ma zamiaru kontrolować i wygłaszać oceny jej wyglądu, że nie uchwyciłby ani nie zrozumiał nawet najbardziej wyraźnych aluzji do złośliwych uwag, które niegdyś rzucał.

Miał zapadnięte oczy, nieobecne spojrzenie, prawie nieruchome.

Zastanawiała się, czy naprawdę do niej napisał z prośbą, by przyjechała.

– Może wejdziemy? – zaproponowała, przewieszając podróżną torbę na drugie ramię.

– Masseck!

Zakłaskał w ręce.

Lodowaty blask, prawie niebieskawy, wysyłany przez jego bezkształtne ciało coraz bardziej przybierał na sile.

Starszy człowiek w bermudach i w zniszczonej koszuli wyszedł z domu żwawym krokiem.

– Weź torbę – rozkazał ojciec Norah.

Po chwili zwrócił się do niej:

– To jest Masseck, poznajesz?

– Mogę sama zanieść torbę – powiedziała i natychmiast pożałowała tych słów, które mogły przecież urazić służącego przyzwyczajonego, pomimo wieku, do dźwigania i przenoszenia najbardziej nieporęcznych bagaży, podała mu więc torbę z takim rozmachem, że zaskoczony zachwiał się, po chwili jednak odzyskał równowagę, zarzucił ciężar na plecy i wszedł do domu. – Kiedy przyjechałam tu ostatnim razem, był Mansour – powiedziała. – Nie znam Massecka.

– Jaki Mansour? – spytał ojciec z nagłym zmieszaniem na twarzy, wręcz osłupieniem, jakiego nigdy przedtem u niego nie widziała.

– Nie znam jego nazwiska, ale to był Mansour, mieszkał tu przez długie lata. – Norah od-



czuwała coraz większy ciężar odrażającej, dławiącej trwogi.

– To mógł być ojciec Massecka.

– Och, nie – powiedziała cicho. – Masseck jest za stary, żeby mógł być synem Mansoura.

Ojciec miał coraz bardziej zdezorientowaną minę, wyglądał nawet, jakby się zastanawiał, czy ona nie robi sobie z niego żartów, więc szybko dodała:

– Tak naprawdę to nie ma znaczenia.

– Żaden Mansour nigdy u mnie nie służył, mylisz się – rzekł z aroganckim uśmieszkiem, wzgardliwym, co jako pierwszy ślad dawnego usposobienia ojca i dlatego, że zawsze ten nonszalancki uśmieszek był denerwujący, rozgrzało serce Norah, tak jakby to było takie ważne, że ten zarozumiały, pełen buty człowiek ciągle się upiera, by mieć ostatnie słowo bardziej niż słusność.

Była pewna, że Mansour istniał, gorliwy, cierpliwy, skuteczny, przez długie lata u boku ojca, i chociaż ona i jej siostra przyjechały do tego domu tylko trzy czy cztery razy od czasu dzieciństwa, zawsze spotykały tu Mansoura, a nigdy tego Massecka o obcej twarzy.

Norah od progu poczuła, jak bardzo dom jest opustoszały.

Zapadł już zmrok.

Przestronny salon był ciemny, pograżony w ciszy.

Ojciec zapalił stojącą lampę, skąpe światło, takie jakie dają czterdziestowatowe żarówki, odsłoniło środek pokoju z długim stołem o szklanym blacie.

Norah dostrzegła na chropowatych ścianach oprawione fotografie ośrodka wakacyjnego – ojciec był jego właścicielem, prowadził go i na tym się dorobił.

Wiele osób mieszkało zwykle w domu tego człowieka szcyczącego się swym sukcesem, nie tyle szczodrobliwego, jak zawsze myślała Norah, ile pękającego z dumy, że zdolny jest przyjąć pod swój dach i utrzymywać braci i siostry, kuzynów i kuzynki, rozmaitych krewnych, tak że Norah nigdy nie widziała pustego salonu bez względu na porę, w której tam się znalazła.

Po sofach nieustannie tarzały się dzieci z napęczniałymi brzuchami, jak nażarte koty, mężczyźni popijali herbatę, oglądając telewizję, kobiety krzątały się między kuchnią a pokojami.

Tego wieczoru pusty salon bezlitośnie obnażył surowość materiałów budowlanych, błyszczącą posadzkę, betonowe ściany, wąskie obramowanie okiennych fryz.

– Twojej żony nie ma? – spytała Norah.

Odsunął dwa krzesła od wielkiego stołu, przybliżył jedno do drugiego, po czym z powrotem postawił je na miejscu.

Włączył telewizor i zgasił, zanim jakikolwiek obraz zdążył się ukazać na ekranie.

Przemieszczał się, szurając kłapkami po posadzce, bez podnoszenia nóg.

Lekko drżały mu wargi.

– Wybrała się w podróż – rzucił w końcu.

Aha, pomyślała Norah z niepokojem, pewnie nie ma odwagi powiedzieć, że go opuściła.

– A Sony? Gdzie jest Sony?

– Tak samo – powiedział bardzo cicho.

– Sony wyjechał?

Myśl, że ojciec, który miał tyle kobiet i tyle dzieci, mężczyzna niespecjalnie urodziwy, lecz w jakiś sposób niezwykły, sprytny, bezwzględny i porywczy, który po wyjściu z nędzy zawsze był otoczony swoją małą gromadką, zobowiązaną mu i uległą, gdy tylko umocnił się jego majątek, że ten rozbestwiony człowiek pozostał sam jeden, być może opuszczony, ta myśl mimowolnie podsyciała w Norah zadawnioną nieokreśloną urazę.

Zdawało jej się, że ojciec dostał wreszcie nauczkę, jaką życie powinno było mu wtłoczyć w serce o wiele wcześniej.

Ale jakiej natury była ta nauczka?

Przy tych myślach poczuła się małoduszna i niegodziwa.

Bo jeśli ojciec przyjmował pod swój dach ludzi interesownych, jeśli nie miał prawdziwych przyjaciół ani uczciwych kobiet (z wyjątkiem mojej matki, pomyślała Norah), nie miał kochających dzieci, jeśli w starszym wieku, osłabiony, gorzej prosperujący szwenda się samotnie w ponurym domu, to na czym miałyby polegać umacnianie absolutnego poczucia moralności i dlaczego Norah miałaby czuć satysfakcję ze swojej pozycji zazdrosnej córki nareszcie pomszczonej za to, że nigdy nie należała do grona osób bliskich swojemu ojcu?

Czując się małoduszna i zła, zawstydyła się z powodu swego zgrzanego, spoconego ciała, pogniecionej sukienki.

Jakby chcąc wymazać niedobre myśli, upewnić się, że ojciec nie będzie zbyt długo sam, spytała:

– Sony niedługo wróci?

– Sam ci to powie – zamruczał ojciec.

– Jak to? Przecież go nie ma.

– Masseck! – zawołał uderzając dłonią o dłoń.

Małe żółte kwiatki płomieniowca opadły na posadzkę z jego ramion i karku, a on szybkim ruchem przygniótł je czubkiem klapka.

Norah miała wrażenie, że depcze takie same kwiatki na jej sukience.

Wszedł Masseck, pchając wózek zastawiony półmiskami, talerzami i sztuczkami, po czym zaczął rozstawiać to wszystko na szklanym stole.

– Siadaj – rzekł ojciec. – Będziemy jeść.

– Najpierw pójdę umyć ręce.

W swoim głosie usłyszała chirurgiczną precyzję wypowiedzi, której nigdy nie stosowała w rozmowie z innymi osobami, a która miała udaremnić wszelką próbę ze strony ojca przeniesienia na Massecka, dawniej na Mansoura, tego co ona miała zamiar właśnie zrobić, wiedziała, że tak bardzo nienawidzi, gdy u niego w domu goście próbują wykonać najdrobniejszą choćby czynność, a tym samym podać w wątpliwość kompetencje służących, że mógłby nawet powiedzieć: Masseck umyje ręce za ciebie, i nie obrażałby siebie, że nie będzie posłuszna, tak jak byli mu zawsze posłuszni otaczający go młodzi i starzy.

Ale ojciec prawie nie słyszał jej słów.

Usiadł, nieobecny wzrokiem wodził za rękami Massecka.

Zauważyła, że ma czarniawą skórę, jaśniejszą niż kiedyś, matową.

Ziewnął jak pies, bezgłośnie, szeroko otwierając usta.

Nabrała pewności, że słodkawy, mdlący zapach, który poczuła już na progu, pochodził jednocześnie z płomieniowca, jak i z ciała ojca, bo całe było przepojone powoli butwiejącymi żółtopomarańczowymi kwiatkami – i to jest ten mężczyzna, pomyślała, który zawsze tak bardzo dbał o nieskazitelność swojej prezencji, który skrapiał się wyłącznie najelegantszymi perfumami, człowiek wyniosły i niespokojny, który nigdy nie chciał roztaczać własnego zapachu!

Biedak, któż by pomyślał, że stanie się starym ociężałym ptaszyskiem niezdarnie latającym, wydzielającym tak silną woń!

Skierowała swe kroki do kuchni, przeszła przez długi nieotynkowany korytarz, oświetlany zaledwie jedną żarówką, całkiem przyćmioną odchodami much.

Kuchnia była najmniejszym i najbardziej niewygodnym pomieszczeniem tego monstrualnego domu i to także – jak pamięta – wpisała sobie na niekończącą się listę zarzutów pod adresem ojca, wiedząc doskonale, że nie podzieli się z nim ani tymi ciężkimi, ani lżejszymi, mając świadomość, że nigdy nie zdobędzie się w rzeczywistości twarzą w twarz z tym nieprzeniknionym człowiekiem na przywołanie śmiałości, której nie brakuje jej z od-

dali, by przytłoczyć go zarzutami, była więc tym rozżalona, zawiedziona przez siebie samą i jeszcze bardziej na niego zła za to, że musi się ugiąć, że nie ma odwagi mu tego wygarnąć.

Ojciec nic sobie nie robił z tego, że służący muszą pracować w tak ponurym i męczącym miejscu, bo ani on, ani jego goście nigdy tam nie zaglądali.

Nawet nie zrozumiałby takiej uwagi, pomyślała z pełnym irytacji rozżaleniem, złożyłby to na karb typowej dla niej czułościowości, jej płci i świata, w którym żyje, a którego obyczajowość jest mu obca.

Nasze kraje się różnią, mają całkiem inne społeczeństwa, mniej więcej tak by powiedział ze znanstwem, protekcjonalnie, może zawołałby Masecka i w jej obecności spytał, czy odpowiada mu taka kuchnia, na co Maseck odpowiedziałby twierdząco, a ojciec, nawet nie spojrzawszy na Norah, z triumfem w oczach, bo to nadałoby pewną wagę całej sprawie, która tej wagi nie może mieć, uznałby temat za zamknięty.

Nie ma ani sensu, ani pożytku mieć za ojca człowieka, z którym dosłownie nie da się porozumieć, którego uczucie zawsze było wątpliwe, pomyślała znowu, tym razem ze spokojem, nie drżąc z powodu owego poczucia bezsilności, złości i znie-

chęcenia, jakie drażyło ją dawniej, gdy okoliczności kazały jej się zmagać z nieprzekraczalnymi różnicami w wychowaniu, poglądach, pojmowaniu świata dzielącymi tego człowieka o chłodnej uczuciowości, który we Francji spędził zaledwie kilka lat, i Norah, kobietę o gorącym i wrażliwym sercu, która tam żyje od zawsze.

A jednak zjawiała się tutaj, w domu swego ojca, jednak przyjechała, gdy ją zawezwał.

Gdyby była obdarzona mniejszą emocjonalnością, cechą, którą ojciec pogardzał bez opamiętania, pogardzając zarazem własną córką i całym zgnuśniałym i zniewieściałym Zachodem, znalazłaby jakikolwiek pretekst, by uchylić się od tej podróży – „...zrobiłabyś mi zaszczyt i wyjątkową przyjemność, gdybyś zechciała, jeśli pozwolą Ci na to siły, rozstać się na pewien czas, dłuższy czy krótszy, ze swoją rodziną i przyjechać do mnie, do swego ojca, bo muszę z Tobą porozmawiać o poważnych, istotnych sprawach...”.

Ach, jak bardzo żałowała, że się ugięła, jak pragnęła wrócić do domu, zając się swoim własnym życiem.

Szczupła dziewczyna w podkoszulku i znożonej przepasce na biodrach myła garnki w małym zlewku.